

ANDRZEJ SZOSTEK MIC

Sanktuarium spotkania i dialogu

Sumienie należy do tych pojęć, o których łatwiej mówić wzniośle niż sensownie. Podkreślamy, że zawsze trzeba go słuchać, ale kiedy chcąc skłonić kogoś do zmiany postępowania odwołujemy się do jego sumienia, nader często słyszymy w odpowiedzi, że właśnie sumienie każe mu czynić to, co nam wydaje się naganne. Potoczny sens sumienia traci w takich wypadkach swą pozorną oczywistość i zmusza nas, by bodaj w najprostszy sposób określić jego istotę, źródło i charakter jego autorytetu. Nie lubimy podręcznikowych formułek, zwłaszcza gdy odnoszą się one do rzeczywistości tak żywej, jak sumienie. Formułki te zawierają jednak w sobie związane ujęcia – prawda, że często zniechęcające swą definicyjną nudą – ważnych i fascynujących niekiedy problemów.

Poniżej spróbuję niektóre z tych problemów przybliżyć, odwołując się do pięknego zapisu o sumieniu, jaki znajdujemy w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*. Punkt 16 tej konstytucji w całości godzien jest uważnej lektury i analizy, tu – dla zwięzłości – przytoczę te jego fragmenty, które niżej będą szczególnie często przywoływane: „W głębi sumienia człowiek odkrywa prawo, którego sam sobie nie nakłada, lecz któremu winien być posłuszny i którego głos wzywający go zawsze tam, gdzie potrzeba, do miłowania i czynienia dobra a unikania zła, rozbrzmiewa w sercu nakazem: czyn to, tamtego unikaj. (...) Sumienie jest najtajniejszym ośrodkiem i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa. Przez sumienie dziwnym sposobem staje się wiadome to prawo, które

wypełnia się miłowaniem Boga i bliźniego. Przez wierność sumieniu chrześcijanie łączą się z resztą ludzi w poszukiwaniu prawdy (...). Często jednak zdarza się, że sumienie błądzi na skutek niepokonalnej niewiedzy, ale nie traci przez to swojej godności. Nie można jednak tego powiedzieć w wypadku, gdy człowiek niewiele dba o poszukiwanie prawdy i dobra, a sumienie z nawyku do grzechu powoli ulega niemal zaślepieniu”.

Prasumienie – sąd sumienia – autonomia

„W głębi sumienia człowiek odkrywa prawo, którego sam sobie nie nakłada, lecz któremu winien być posłuszny.”

Cóż to za prawo? Nade wszystko to, które wzywa go „do czynienia dobra a unikania zła”. Ci, którzy przeszli elementarny kurs etyki, wiedzą, że sformułowanie to – określane mianem prasumienia lub synterezy – wyraża istotę prawa naturalnego. Cóż szczególnego jednak ta zasada głosi? Jeśli „dobro” znaczy „to, co należy czynić”, a „zło” – „to, czego należy unikać”, to zasada: „Należy czynić dobro, a zła unikać”, zdaje się nie mówić nic ponad to, iż należy czynić to, co należy czynić, unikać natomiast tego, czego należy unikać. Trudno doprawdy uznać taką konstatację za szczególnie odkrywczą. Ale sens synterezy jest znacznie głębszy. Wyraża ona to, iż człowiek – w odróżnieniu od nierozumnych istot – zdolny jest poznać coś jako dobro oraz że w sposób konieczny (ze swej natury) do dobra dąży. Nikt nie chce zła dla zła; wyboru można dokonać tylko pomiędzy dobrami. Nawet gdy powiadamy o kimś, że wybrał zło, mamy na myśli to, iż wybrał nie to dobro, które należało, lub nie tak, jak należało. „Dobrze wybrane” dobro nie tylko nie ogranicza przy tym wolnej woli, ale z niej wypływa i samą wolność pogłębia. Dojrzałe wolnym nie jest człowiek nieobliczalny, postępujący raz szlachetnie, a innym razem podle. Dojrzałym jest ten, kto trafnie dobro dostrzegł i trwale się za nim opowiedział. Nieobliczalność wynika nie z wolności, ale z – jawnego bądź ukrytego – podlegania czemuś, co rządzi człowiekiem. Na tym polega różnica pomiędzy przymusem a koniecznością. Przymus determinuje człowieka z zewnątrz, wynika z poddania go jakiejś sile, tkwiącej w nim samym lub poza nim. Konieczność natomiast polega na autodeterminacji: na wolnym i stałym przyłgnięciu do wybranego i odpowiadającego człowiekowi dobra. Zasada synterezy – powiada św. Tomasz – stanowi podstawowe prawo rozumu praktycznego, czyli tego, który normuje ludzkie działanie. Nie

Dojrzałym jest ten, kto trafnie dobro dostrzegł i trwale się za nim opowiedział.

przywołujemy go zwykle wprost, ale gdy na przykład oburzamy się na tych, którzy pchają się do kasy bez kolejki; gdy zastanawiamy się, jak pomóc ciężko choremu przyjacielowi; gdy wyznajemy w akcie skruchy swe winy – zakładamy, iż powinniśmy czynić dobro, a unikać zła. Zakładamy więc zasadę synterezy jako zarazem podstawę i niezbędny warunek sensowności wszystkich wypowiedzianych przez nas ocen i norm.

Chcieć można tego tylko, co się – jako dobro – poznało.

Zauważmy jednak, że jest to prawo praktycznego rozumu: władzy uzdalniającej nas do poznania prawdy. *Nihil volitum, nisi praecognitum* – powiedział scholastyk: „Chcieć można tego tylko, co się – jako dobro – poznało”. Na tej zdolności poznania prawdy o dobru, zwanej nie przypadkiem „prasumieniem”, opiera się ściśle pojęty akt sumienia: sąd, który „rozbrzmiewa w sercu nakazem: czynić to, tamtego unikaj”.

Mówiąc, że sumienie jest sądem, mamy zwykle na myśli to, iż sumienie stanowi wewnętrzną instancję, trochę podobną do trybunałów sądowych, jakie funkcjonują w życiu społecznym: podobnie jak sędzia, sumienie osądza czyny swego podmiotu i wydaje wyrok. Taką analogię podsuwa też św. Paweł, kiedy w Liście do Rzymian powiada o poganach, iż „ich sumienie staje jako świadek, a mianowicie ich myśli na przemian ich oskarżające lub uniewinniające” (Rz 2,15). Jest to porównanie zrozumiałe i w pełni usprawiedliwione. Trzeba jednak pamiętać, że tak jak wyrok sądowy zapada w wyniku wielostronnego rozpoznania czynu dokonanego przez podsądnego oraz odniesienia go do obowiązującego w danej społeczności prawa, tak też jest z sumieniem. Jego sąd to nie sam wyrok; to nade wszystkim sąd w sensie logicznym: podlegający kwalifikacji prawdy i fałszu akt poznania czynu w relacji do tego, co stanowi o jego moralnej wartości. Jak prasumienie jest zdolnością poznania dobra i zła, dzięki której człowiek może ku dobru podążać, tak sumienie w ścisłym sensie jest aktem poznania tego, co obiektywnie („naprawdę”) człowiek w danej sytuacji powinien uczynić.

Rozumny, poznawczy charakter sądów sumienia bywa często kwestionowany, co pociąga za sobą daleko idące, groźne następstwa. Niekiedy utożsamia się sumienie z Freudowskim super-ego, upatrując w nim to, co społeczeństwo „wdrukuję” w jednostkę, zwłaszcza w jej wczesnym, dziecięcym okresie dojrzewania. Dziecko chce przynależeć do grupy społecznej, ona zaś – poprzez tak zwane osoby znaczące (rodziców, nauczycieli, wychowawców) – uzależnia tę akceptację od respektowania określonych zasad życia społecznego. Dziecko więc przyjmuje hierarchię wartości starszych jako własną, internalizuje (uwewnętrznia) ją. Aż się prosi, by tak właśnie

interpretować genezę sumienia: by uznać je za wynik tresury, jaką społeczeństwo stosuje wobec swych członków. Trudno się dziwić, że taka wersja freudyzmu (niekoniecznie odpowiadająca zamysłom samego Zygmunta Freuda) ma wielu sympatyków. Zauważmy jednak, że oznacza ona w istocie pozbawienie człowieka autonomii. Nie jest on już wolnym podmiotem, zdolnym do poznania prawdy i kierowania się nią, ale marionetką w procesie społecznej obróbki, w ramach której oczywiście wmawia mu się, że jest wolny, by traktował on jako własne i przez to skuteczniej realizował narzucane mu z zewnątrz wartości i zadania.

Inni podkreślają rolę uczuć w kształtowaniu aktów sumienia. Istotnie: wszelkie oceny moralne, a zwłaszcza osądy własnych czynów, są silnie nasycone emocją. Co więcej, oceny te i normy trudno niekiedy ująć w racjonalne ramy. Powiadamy, że „czujemy”, jak powinniśmy czynić, lecz często nie potrafimy wytłumaczyć, jakie są powody, dla których tak właśnie czujemy. W rezultacie uważamy, iż jesteśmy zwolnieni z usprawiedliwienia słuszności oceny swego postępowania. Bywa, że stoją one w sprzeczności z uznanymi skądinąd autorytetami – cóż jednak poradzić: trzeba przecież być zawsze sumieniu posłusznym. Również ta wygodna niekiedy, emocjonalna interpretacja sumienia pozbawia nas możliwości wolnego stanowienia o sobie.

Wygodna niekiedy, emocjonalna interpretacja sumienia pozbawia nas możliwości wolnego stanowienia o sobie.

Człowiek znów nie jest panem siebie – zdolnym do poznania sensu swego życia, celu, ku któremu dąży, właściwej drogi wiodącej do jego osiągnięcia – a staje się bezwolnym pionkiem w grze sił, tym razem wewnętrznych, emocjonalnych, nie zaś, jak poprzednio, zewnętrznych.

W pewnych kręgach modna jest jeszcze inna interpretacja sumienia, pozornie podkreślająca rangę ludzkiej wolności. Powiada się mianowicie, że ludzka natura jest plastyczna, że nie zawiera w sobie żadnego trwałego „zapisu”, który byłby dla człowieka moralnie zobowiązujący. Człowiek jest – jak się podkreśla – zdolny i powołany do tego, by sens swego życia kreować i na tym właśnie polega jego wolność. Kto więc chce założyć małżeństwo i rodzinę, ten może to oczywiście uczynić, ale jeśli chce zamiast tego żyć w samotności i w niej upatruje swą wielkość, to też dobrze. Jeśli chce założyć związek homoseksualny, albo jeśli decyduje się realizować odpowiedzialne rodzicielstwo przy użyciu środków antykoncepcyjnych, albo nawet jeśli chce popełnić samobójstwo, bo w nim widzi szczyt swego samospełnienia – to trudno mu takich działań zabronić, skoro wielkość człowieka jako istoty wolnej polega na tym właśnie, by w swobodny sposób kreować swój „projekt życiowy” i drogi jego realiza-

cji. Jedynym ograniczeniem są uprawnienia innych, którym nie należy przeszkadzać w ich swobodnej samorealizacji, oraz kondycja ludzka, która nie każdą fantazję pozwala zrealizować. W związku z tym rolą sumienia nie jest dokonywanie sądów o wartości moralnej czynu w świetle jakiejś rzekomo stałej normy moralności, ale twórcze decydowanie o tym, co tą wartością będzie. Takie decyzje sumienia nie mają żadnego uzasadnienia poza tym, że manifestują wolność człowieka.

Potrzeba niekiedy bolesnych doświadczeń, by przekonać się, że samą swobodną decyzją człowiek nie jest w stanie zmienić siebie.

Cóż to za atrakcyjna interpretacja sumienia! Trudno nie dostrzec jej pokrewieństwa z rajska pokusą: „Tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło” (Rdz 3,5). Po-

trzeba niekiedy bolesnych doświadczeń, by przekonać się, że samą swobodną decyzją człowiek nie jest w stanie zmienić siebie – swej natury, najgłębszego sensu swego życia; że jeśli nie włoży wysiłku, by zrozumieć, kim jest, i poznać Boży zamysł względem niego, to może zmarnować jedyne życie, jakie Bóg dał mu do dyspozycji.

Wszystkie trzy wyżej przedstawione koncepcje sumienia: psychoanalityczna, emocjonalistyczna i kreacjonistyczna, podważają jego racjonalny charakter. Czy są to akademickie spory, pasjonujące tylko wąskie grono nieco zmanierowanych filozofów i nikogo więcej? Chyba nie. Oto uznanie poczętego płodu ludzkiego za człowieka i przyznanie mu prawa do życia określa się mianem „poglądu moralnego”, a więc takiego, który ma charakter osobistej „opcji”, nad którą już się nie dyskutuje. Oto podkreśla się wagę pluralizmu poglądów i postaw, w samej ich wielości upatrując większą wartość, niż w tym, co o ich słuszności decyduje. W praktyce życia politycznego pluralizm taki oznacza nader często kierowanie się „racją siły”, nie zaś siłą racji; oznacza „elastyczność” programów i sojuszy, podporządkowanych całkowicie pragmatyce dążenia do władzy. Przeniesiony zaś na sferę wychowania pluralizm ten każe traktować wszelkie wizje rozwoju człowieka jako równoważne, pozostawione swobodnej decyzji jednostki. W życiu niejednego katolika tak właśnie pojęte sumienie, jako „uwolnione” od wymogu szukania i respektowania prawdy o dobru, wyraża się upartym stwierdzeniem: „Ja i tak swoje wiem”, którym kwituje się między innymi oficjalnie i odwołujące się właśnie do sumień nauczanie Kościoła.

Spółeczeństwo ma oczywiście wpływ na wrażliwość sumienia poszczególnych ludzi. Trudno też zaprzeczyć, że akty sumienia są silnie zabarwione emocjonalnie. Zgodzić się wreszcie trzeba, że człowiek jest wolnym i twórczym podmiotem określającym swą indywidualną specyfikę.

Rzecz w tym jednak, by uwzględniając te i inne jeszcze uwarunkowania aktywności sumienia nie zapomnieć o tym, że jest ono nade wszystko aktem poznania prawdy: prawdy o czynie i jego moralnej wartości, a pośrednio o samym podmiocie, który poprzez ten czyn, jako istota rozumna, osiągnąć może osobową pełnię. Co więcej, przy całym swym indywidualnym, a nawet intymnym charakterze, sumienie – jako „sanktuarium spotkania i dialogu” – jest tym forum, na którym „chrześcijanie łączą się z resztą ludzi w poszukiwaniu prawdy i w rozwiązywaniu w prawdzie tytułów problemów moralnych, które narzucają się tak w życiu jednostek, jak i we współżyciu społecznym” (KDK, 16).

Błędy sumienia i ich konsekwencje

„Często jednak zdarza się, że sumienie błądzi na skutek niepokonalnej niewiedzy, ale nie traci przez to swojej godności. Nie można jednak tego powiedzieć w wypadku, gdy człowiek niewiele dba o poszukiwanie prawdy i dobra, a sumienie z nawyku do grzechu powoli ulega niemal zaślepieniu.”

Człowiek jest omylny. Tak jak może pobrać w poznaniu teoretycznym (w poznaniu tego, co i jak istnieje), tak też błądzi w poznaniu praktycznym (w poznaniu tego, co dobre i złe, oraz tego, co powinien czynić). Owszem, sumienie „nie traci swej godności”, kiedy człowiek błądzi w dobrej wierze, to znaczy kiedy błądzić nie chce. Jest to prawda nad wyraz pocieszająca. Któż z nas jest pewien, że w swych moralnych osądach się nie myli? Komu nie zdarzyło się, że po latach dostrzegł swą ślepotę, która – być może – przysporzyła komuś niemało szkody i bólu? *Nocens, sed innocens* – powiedział Abelard: „Powodujący szkodę, a przecież niewinny”. Jak długo bowiem człowiek uczciwie szuka prawdy, tak długo zachowuje nienaruszony swój „osobowy kręgosłup”: nadal jest rozumnym podmiotem, który stara się aktami wolnego wyboru podążać za tym, co sam poznał jako prawdę. U progu nieba może się dowiedzieć, że popełnił w życiu wiele głupstw, ale znalazł Boga, bo Go uparcie szukał.

Jednakże z poznaniem prawdy moralnej (praktycznej) sprawa nie jest prosta. Najpierw dlatego, że akty moralnie złe nie tylko odrywają wolność od rozumu i poznawanej przezeń prawdy, ale również powodują skażenie samego rozumu, samej zdolności poznania ważnej moralnie prawdy. Św. Paweł ostrzega: „Albowiem gniew Boży ujawnia się z nieba na wszelką bezbożność i nieprawość tych ludzi, którzy przez nieprawość nakładają prawdzie pęta” (Rz 1,18). Przez nieprawość – a więc przez wypaczenie woli – nakłada się pęta prawdzie, czyli zaćmiewa się zdolność trafnego

uchwycenia tego, co należy czynić. Najpierw dlatego, że samo czynienie zła zniekształca nasze rozumienie dobra i zła. Kto stara się być sprawiedliwy, ten coraz lepiej rozumie, czym jest sprawiedliwość. Kto się chętnie rozmija z uczciwością, prawdomównością i innymi przejawami sprawiedliwości, ten źle ją pojmuje – i źle pojmuje zło, które staje się jego udziałem.

Samo czynienie zła zniekształca nasze rozumienie dobra i zła.

Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego trwanie w grzechu znieprawia sumienie. Człowiek nie może żyć w schizofrenii: w trwałym rozdziewie pomiędzy tym, co poznał jako prawdziwe i zobowiązujące go dobro, a tym, co faktycznie wybrał. Albo nawraca się, czyli zmienia kierunek nastawienia swej woli, albo usiłuje nagiąć swe poznanie (sumienie) tak, by ten jego „kompas” inaczej wskazywał kierunki moralnie poprawnego działania. Tu dopiero dotykamy najgroźniejszej odmiany znieprawienia sumienia. Powiadamy niekiedy, że wyrzuty sumienia są tak natrętne i bolesne, że nie dają się niczym zagłuszyć. Obawiam się, że pogląd ten – pozornie surowy – jest zbyt optymistyczny. Nie uwzględnia on wielorakich możliwości samooszukiwania się człowieka, potęgi „racjonalizacji” polegającej na dobieraniu szlachetnych motywów do nieszlachetnych czynów. Przypomnijmy sobie dialogi Chrystusa z uczonymi w Piśmie i faryzeuszami, których żaden argument ani żadne cuda Mistrza nie były w stanie poruszyć.

Bywają sytuacje, gdy życie w prawdzie, wierność temu, co człowiek za prawdę i dobro uważa, wystawione są na bardzo ciężką próbę. W Skoczowie, gdzie Papież w swej homilii szczególnie wiele uwagi poświęcił sprawom sumienia, usłyszeliśmy między innymi, że „nasz wiek XX był okresem szczególnych gwałtów zadawanych ludzkim sumieniom. W imię totalitarnych ideologii (...) zmuszano [ludzi] do działań niezgodnych z ich najgłębszymi przekonaniem. Wyjątkowo bolesne doświadczenia ma pod tym względem cała Europa Środkowowschodnia. Pamiętamy ten okres zniewalania sumień, okres pogardy dla godności człowieka, cierpienie tylu niewinnych ludzi, którzy własnym przekonaniem postanowili być wierni”. I dodał, że nadal tkwią „głębokie rany w tkance moralnej narodu, a przede wszystkim w duszach Polaków, które jeszcze się nie zabiły, które jeszcze długo trzeba będzie leczyć”¹.

¹ Jan Paweł II, *Pielgrzymki do Ojczyzny 1979 1983 1987 1991 1995 1997. Przemówienia, homilie*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997, s. 844.

Zapewne, różne są te rany. Ale czy nie jest tak, że jedną z najgłębszych jest łatwość, z jaką przychodzi nam kłamać? Protestowaliśmy głośno i wytrwale przeciw systemowi zakłamania, który przychodził z zewnątrz. Kiedy jednak skończył się czas komunistycznego totalitaryzmu, kiedy sami możemy budować własny ład, okazuje się, że nie spieszo nam do życia uczciwego; okłamujemy się łatwo i jeszcze oczekujemy z tego tytułu szacunku. Korzystamy bez żenady z telefonów służbowych dla załatwienia prywatnych spraw. Słyszałem o proboszczu, który po sumie zatrzymał wiernych, by im – jako dobry, dbający o swe owieczki pasterz – wytłumaczyć, jak ominąć obowiązujące przepisy podatkowe. Żartowaliśmy kiedyś, że Polak jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwona, w środku biała. Ale rzodkiewka na starość czerwienieje do środka i chyba nie zauważyliśmy, jak wszyscy się tą niedobłą czerwienią zaraziliśmy – nie przez przyjęcie marksistowsko-leninowskiej doktryny filozoficzno-społecznej, ale przez przyzwyczajenie się do kłamstw, oszustw, czego skutkiem jest wzajemna podejrzliwość i dwulicowość, która tak dotkliwie daje dziś znać o sobie, stając na przeszkodzie w formułowaniu wspólnych, wiarygodnych programów i sojuszy.

Prawo sumienia – prawem miłości

„Przez sumienie dziwnym sposobem staje się wiadome to prawo, które wypełnia się miłowaniem Boga i bliźniego.”

Prawo naturalne nie wyczerpuje się w formule: czyń dobro – unikaj zła. Fundamentalne odniesienie człowieka do dobra otwiera go na całą prawdę o nim samym, jej zaś istotnym elementem jest to, iż człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, który jest miłością. Wielce to znamienne, że Sobór prawo miłowania Boga i bliźniego „wkłada” w rzeczywistość sumienia; bez tego łatwo by było je sprowadzić do egoistycznego, narcystycznego zamykania wrażliwości moralnej podmiotu na siebie samym. Sumienie właśnie pozwala odsłonić paradoks bytu osobowego; tego, że człowiek „nie może odnaleźć się w pełni inaczej jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego” (KDK, 24). Głos sumienia dopominający się, by nie przechodzić obojętnie wobec ludzkich kłopotów, jest więc jednocześnie głosem prawdy o samym podmiocie. Sumienie jest istotnie „sanktuarium spotkania i dialogu”.

Odniesienie człowieka do dobra otwiera go na całą prawdę o nim samym.

Czy i ten wymiar sumienia nie wymaga dziś wyraźnego nagłośnienia? Raz jeszcze przywołajmy słowa Papieża ze Skoczowa: „Być człowiekiem sumienia, to znaczy angażować się w budowanie Królestwa Bożego: królestwa prawdy i życia, sprawiedliwości, miłości i pokoju, w naszych rodzinach, w społecznościach, w których żyjemy i w całej Ojczyźnie; to znaczy także podejmować odważnie odpowiedzialność za sprawy publiczne, troszczyć się o dobro wspólne, nie zamykać oczu na biedy i potrzeby bliźnich, w duchu ewangelicznej solidarności: «Jeden drugiego brzemiona noście» (Ga 6,2)”.

Jak reagujemy na otaczającą nas, wyraźniejszą, niż przed laty, biedę? Wyszła na jaw i gwałtownie wzrosła liczba bezrobotnych. Emerytury i renty, a także pensje tych, którzy mają liczne rodziny, zdecydowanie nie wystarczają na zaspokojenie wielu elementarnych potrzeb. Iluż to chorych nie ma za co się leczyć? Coraz więcej żebraków coraz natarczywiej prosi o wsparcie. Wszystko to widzimy, w duchu nad tym bolejemy – ale na tym się nasza troska nazbyt często kończy. Pozostało dawne przekonanie, że to sprawa tych, którzy rządzą – i choć wiemy, jak bardzo programy rządowe nie zaradzają tym potrzebom, poprzestajemy na bezradnym rozłożeniu rąk. Tymczasem w nietotalitarnie rządzonym państwie (zwłaszcza na obecnym, przejściowym etapie jego budowania) żadne programy rządowe nie rozwiążą ostatecznie i zadowalająco kwestii społecznej biedy, a wobec tego oprócz tych programów oraz indywidualnej ofiarności, potrzeba

Istotna dla prawego sumienia jest wrażliwość na los bliźnich.

pewnych form społecznego współdziałania na rzecz tych, którym jest w kraju najtrudniej. Dotykamy tu ważnego, jak sądzę, elementu „rachunku sumienia Ko-

ścioła”, w tym także poszczególnych duszpasterzy. Podkreśliwszy, że istotna dla prawego sumienia jest wrażliwość na los bliźnich, Papież dodał: „Pamiętam, że powiedziałem te słowa w Gdańsku, podczas odwiedzin w 1987 roku na Zaspie”. Czy nie jest to napomnienie, że nie dosłyszeliśmy tej lekcji o naszym sumieniu, którą nam Ojciec Święty przekazał już dziewięć lat wcześniej?

Sumienie – sanktuarium dialogu z Bogiem

„Sumienie jest najtajniejszym ośrodkiem i sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem, którego głos w jego wnętrzu rozbrzmiewa.”

Poddaję pod rozwagę te słowa dopiero teraz nie dlatego, jakoby były mało ważne. Raczej przeciwnie: tu dopiero Sobór dotknął najgłębszej ta-

jemnicy sumienia, do której jednak dobrze jest dojść poprzez inne jego wymiary. Ostatecznie bowiem zdolność do poznania prawdy, cudownie wyróżniająca człowieka z reszty ziemskich stworzeń, jest zdolnością szukania i – przy wszelkich ograniczeniach wynikłych z przygodności ludzkiego bytu – poznania samego Boga. Człowiek jest *capax Dei* przez to właśnie, że jest *capax veri*: otwiera się na Boga, poprzez otwarcie na prawdę. Każda prawda ubogaca człowieka, w każdym akcie poznania człowiek wychodzi niejako poza siebie, i każdy taki trud poznawczy przysposabia go do poznania Boga, który – choć, jak powiada św. Augustyn, jest *semper maior*, zawsze większy od naszych wyobrażeń – jest zarazem obecny w każdym bycie i w każdej prawdzie.

Ale szczególnie intymny dialog pomiędzy Bogiem i człowiekiem toczy się właśnie w sumieniu. Dlatego prawo naturalne (wyrażające się nade wszystko w praszumieniu) określone było w średniowieczu jako *scintilla Dei* – „iskra Boża w człowieku”. Doktor Anielski wywodzi też roztropność, usprawniającą sumienie człowieka (*prudentia*) z Bożej opatrności (*providentia divina*), ponieważ w tej właśnie cnocie opatrność znajduje swój wyraz. Oznacza to, że sąd sumienia, choć jest własnym, najgłębszym przekonaniem człowieka o tym, co powinien czynić, jest zarazem głosem Boga, w tymże sumieniu odsłaniającego przed człowiekiem swe Boskie prawo. Właśnie na tym polega znamienny paradoks sumienia, że jest ono własnym przekonaniem człowieka o tym, co powinien czynić, a jednocześnie – i głębiej jeszcze – głosem Boga, który przekazuje człowiekowi swoją wolę. Wyrażamy tę podwójną rzeczywistość sumienia nadając mu niejako odrębną podmiotowość, wyższą niż nasza własna. W tym sensie mówimy, że należy być posłusznym sumieniu, odczuwamy wyrzuty sumienia itp., rozumiejąc, że sumienie jako „podmiot w podmiocie” to nic innego, jak głos samego Boga, który zarazem dozwolił człowiekowi (ludzkiemu rozumowi) uczestniczyć w Bożym prawie².

Głos Boga nie sprowadza się przy tym do szczegółowych zaleceń należnego postępowania. Jest to głos tajemny, osobisty, wyznaczający człowiekowi jego indywidualne zadanie, ukazujący mu ten rodzaj świadectwa, który jemu tylko będzie właściwy. Jest to głos Bożej miłości: miłości Tego, który „pierwszy nas umiłował” (1 J 4,19) i który pragnie naszego szczęścia żarliwiej niż my sami. Jest to zarazem – i nade wszystko – głos

² Jest to jeszcze inne, bodaj najpełniejsze określenie prawa naturalnego podane przez św. Tomasza: *lex naturalis est participatio legis aeternae in rationali creatura*: „Prawo naturalne, to uczestnictwo odwiecznego prawa w rozumnym stworzeniu”.

Tego, który „jeden tylko jest Dobry” (Mt 19,17) i jedyny godzien jest, by miłować Go „z całego swego serca, z całej duszy swojej, ze wszystkich swych sił” (Pwt 6,5). Zastanawiające jest, że tego intymnego, pełnego miłości dialogu z Bogiem nie kojarzymy zwykle z sumieniem. Jeśli już przyznajemy mu rangę sanktuarium, to raczej myślimy o spotkaniu z Bogiem – Sędzią sprawiedliwym, przed którym nic się nie ukryje i którego o miłosierdzie, pełni skruchy, błagamy.

W sumieniu właśnie dojrzeć trzeba miejsce najintymniejszej modlitwy.

Przeżycia radosnej, uszczęśliwiającej nas Jego bliskości kojarzymy raczej z modlitwą, zwłaszcza uwielbienia, niż z sumieniem. Tymczasem nie ma sensu oddzielać

modlitwy od sumienia. Przeciwnie, w sumieniu właśnie dojrzeć trzeba miejsce najintymniejszej modlitwy, niewysłowionego dialogu miłości. Być może, oprócz zbyt moralizatorskiego traktowania sumienia, na to zubożone jego pojmowanie wpływ ma również dzisiejsza „wspólnotowa moda”, która zdaje się niekiedy wynikać raczej z ucieczki od samotności przed Bogiem niż z szukania Go. Wspólnota modlitewna, skądinąd potrzebna, nie może zastąpić tego osobistego kontaktu z Bogiem w sumieniu.

Z takiego dialogu z Bogiem wypływa świadectwo. Papież mówił w Skoczowie o św. Janie Sarkandrze i jego świadectwie wierności sumieniu. Ale wierność sumieniu, to wierność prawdzie, ostatecznie zaś – wierność Bogu. Świadectwo, zwłaszcza świadectwo krwi, jest najwyższym aktem miłości, na jaki człowieka stać. Wołając o ludzi sumienia, których dziś tak bardzo Polsce potrzeba, Ojciec Święty wołał o świadków Boga samego. „I oto staję przed nami, przy końcu tego rozważania, Chrystus z Apokalipsy św. Jana: Chrystus – Dobry Pasterz, a zarazem Chrystus – Baranek Boży, który życie swoje położył za swoją owczarnię.”³

W sprawie sumienia kapłana – uwagi końcowe

Przywołany przykład św. Jana Sarkandra podpowiada, by naszą refleksję zakończyć bodaj krótkim nawiązaniem do kwestii sumienia kapłana. Temat ten zasługuje z pewnością na odrębne potraktowanie, uwzględniające nie tylko perspektywę etyczną, ale także teologiczną, pedagogiczno-psychologiczną, a wreszcie doświadczenie tych, którym – jak na przykład ojcom duchownym w seminariach – powierzono formację przyszłych ka-

³ Jan Paweł II, *Pielgrzymki do Ojczyzny*, dz. cyt., s. 847.

planów. Nie chcę powtarzać tych praktycznych aplikacji refleksji nad istotą sumienia, o których wspomniałem wcześniej, ani rozwijać wniosków, które wydają się dość oczywiste – jak na przykład postulat domagający się od kapłana szczególnej dojrzałości moralnej, „ponadprzeciętnej” wrażliwości jego sumienia. Kapłan przecież, jako duszpasterz, czyli pasterz dusz, wyowiada się – i to wyowiada autorytatywnie, w imieniu Kościoła – w sprawach moralnych poprzez katechezę, homilię, a zwłaszcza w sakramencie pojednania. W świetle zaś tego, co powiedziano wyżej, większa dojrzałość sumienia oznacza między innymi bardziej pieczołowite poszukiwanie i respektowanie prawdy, otwarcie na potrzeby bliźnich, intensywniejszą modlitwę. Chciałbym natomiast wspomnieć o niebezpieczeństwie, które szczególnie zagraża nam, kapłanom, i prawości naszych sumień. Jest to niebezpieczeństwo pychy. Ujawnia się ono na różne sposoby, na dwa z nich chcę zwrócić uwagę.

Po pierwsze, kapłan niesie tajemnice sumienia innych. Wierni odsłaniają przed nim, zwłaszcza na spowiedzi, dramaty i rozterki, wobec których sami są bezsilni, a których on, związany tajemnicą spowiedzi, z nikim dzielić nie może – tylko z Bogiem. Niezmiernie łatwo do autentycznej i szlachetnej gorliwości spowiednika może się zakraść pokusa zbyt dosłownie pojętego kierowania sumieniami innych. Dekret o posłudze i życiu kapłanów *Presbyterorum ordinis* nakłada na kapłanów troskę o to, „by każdy z wiernych został doprowadzony w Duchu Świętym do rozwoju swego własnego powołania zgodnie z Ewangelią” (6) – i jest to wyrażenie bardzo precyzyjne. To Duch Święty przemawia w sumieniu do każdego człowieka, oświeca go i kieruje na drogę, która nie tylko dla niego samego, ale także dla spowiednika może być za-

skakująca. Kapłan nie może „brać na swoje sumienie” powołania i losu swych penitentów, nawet gdy oni sami o to proszą, chcąc się – świadomie lub nieświadomie –

Kapłan nie może „brać na swoje sumienie” powołania i losu swych penitentów.

uwolnić od ciężaru odpowiedzialności za własne życie. Sumienie jest naprawdę „sanktuarium człowieka, gdzie przebywa on sam z Bogiem” – i tej samotności również spowiednikowi naruszyć nie wolno. Oznaczałoby to bowiem uzurpowanie sobie prerogatyw Ducha Świętego, zamianę uważnego i pokornego wsłuchiwanie się w Jego głos w płynącą z pychy pewność siebie. Oznaczałoby też utrzymywanie penitenta w stanie permanentnego niedorozwoju duchowego, zamiast pomocy w jego moralnym dojrzewaniu.

Po drugie, znaczny autorytet, jakim cieszy się kapłan w naszym społeczeństwie (pomimo wszelkich narzekań na kryzys autorytetu), sprawia,

że oczekiwania pod adresem księdza przerastają często jego możliwości. Nie chcąc „gorszyć” wiernych, księża starają się więc niekiedy zachować „budująco”, przybierają pozę obliczoną na ich nabożną aprobatę.

W jednym z przedwojennych poradników dla księży (*Decus clericorum*) wyczytałem, że usłyszawszy dzwonek u drzwi ksiądz powinien wziąć do ręki brewiarz lub różaniec (nawet jeśli go akurat nie odmawia) i tak „uzbrojony” przywitać gościa. Z pewnością porady tego typu płyną ze szczerzej troski o dobro duchowe wiernych. Z pewnością też autentyczność życia kapłana nie wymaga, by obnażał on przed światem przy każdej okazji swe grzechy i słabości. Wymaga jednak, by strzegł się zachowania na pokaz, fałszywych słów i gestów. Rola jego podobna jest pod pewnym względem do roli uczonych w Piśmie i faryzeuszy w czasach Jezusa: jak oni wtedy, tak kapłani dziś uchodzą wśród wiernych za ekspertów od spraw Pana Boga, spotykają się z wyrazami szacunku, a nieradko i z pochlebstwami. Łatwo więc nam, kapłanom uwierzyć we własną mądrość i pobożność. Niejaką trwogę winna więc w nas budzić lektura 23. rozdziału Ewangelii według św. Mateusza. Chodzi tu nie tylko o szkody, skądinąd wielkie, jakie zrodzona z pychy obłuda powoduje u wiernych; chodzi również o to, jak bardzo obłuda ta może się wtopić w samego kapłana, w jego sumienie – tak że nie jest on już w stanie poznać i przyjąć gorzkiej prawdy o sobie.



Każdy stan i zawód ma swe blaski i cienie. Blaskiem powołania kapłańskiego jest szczególna, sakramentalna więź z Chrystusem; cieniem – pokusa przypisania Jego chwały sobie i ustawienia siebie w pozycji należnej tylko Bogu. Zarówno blaski te, jak i cienie przebiegają przez sumienie kapłana: tam spotyka się on najintymniej ze swym umiłowanym Mistrzem, tam również zakraść się chce najgroźniejsze zło: pycha, zamieniająca zbawczy dialog człowieka z Bogiem w zgubny monolog z samym sobą.

Andrzej Szostek MIC (ur. 1945), etyk, uczeń kard. Karola Wojtyły, kierownik Katedry Etyki Szczegółowej i rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, autor książek *Wokół godności, prawdy i miłości* oraz *Pogadanki z etyki*.